

Po premierze „Azylu” Lupy w Teatrze Polskim

A w mej duszy ciągle mrok

Swiat, jaki zbudował Lupa, przeraża dalekim od teatralnej umowności odniesieniem do rzeczywistości. To przede wszystkim zasługa aktorów.

„Azyl” opowiada o mieszkańcach schroniska dla bezdomnych. Plugawa codzienność, ciąg podobnych do siebie dni wypełnionych pijaństwem na scenie Teatru Polskiego staje się studium o samotności człowieka.

Lupa wymaga od aktorów wyjścia poza rodzajowość, nie interesują go typy snujące się po scenie, oczekuje zachowań żywych ludzi. Najpełniej się to udało Miłogostowi Reczkowi (Aktor). Sepleniący, zapijaczony lub skacowany paraduje po noclegowni nago, wracając wspomnieniami do występów w teatrze. Wpada w rozpacz, gdy nie może sobie przypomnieć fragmentu ulubionego wiersza. A przecież pamięć jest dla aktora najważniejsza. Precyzyjnie poprowadził swojego bohatera Krzysztof Dracz (Piepieł) – cyniczny złodziej, kochanek właścicielki noclegowni, w scenie zatytułowanej „Wyspa” odsła-

nia swoje marzenia. Ujawnia się człowiek samotny i poszukujący miłości. Doskonały jest Wojciech Ziemiański w roli Barona. Alkoholik z przeszłością – nie wiadomo, czy rzeczywistą, czy wyimaginowaną – sięga do niej raz po raz. Zmienną w nastrojach, bezwzględna, mściwą i poszukującą czułości Wasyliś pokazała Halina Rasiakówna. Ewa Skibińska w roli Nataszy była delikatna, zahukana i samotna – chciałaby, ale jednocześnie boi się miłości Piepieła. Zresztą, bohaterowie mają tylko dwa sposoby na ucieczkę z podłej rzeczywistości. Jeden to pijaństwo, które wybiera nieustannie zadowolony z siebie Satin (Paweł Miśkiewicz), drugie to marzenia o czystej miłości albo wspomnienia o szczęśliwej przeszłości.

Finał dramatyczny nie istnieje, zamiast niego jest nostalgiczna pieśń: „Słońce wschodzi i zachodzi, a w mej duszy ciągle mrok”. Nie ma finału, bo i życie pokazanych ludzi nie ma finału godnego pokazania na scenie.

Tomasz Wysocki